Nr. 10. i 11. We Lwowie dnia 1. Grudnia 1872. Rocz. IX



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
(Wrazie zwiększenia liczby prenum. 3 razy na miesiąc.)
Adres Lwów Nr. 35¹/₁.

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

Dawne roczniki od I. do VII. razem 13 złr., i każdy pojedyńczo dla szkółek ¹/₃ mniej, tudzież wszystkie książki dla dzieci w polskim i francuskim języku dostanie w adm. „Opiekuna.“

NAUKA MORALNA.

Czasami powiadacie: i cóż możemy dobrego robić na świecie, kiedy jeszcze jesteśmy młodzi i żadnej do tego nie posiadamy możności?

Jest to błędne mniemanie. W każdej porze życia można być złym albo dobrym. W młodym waszym wieku przez posłuszeństwo radom i naukom rodziców, skarbiąc sobie ich miłość, już zrobicie wiele, bardzo wiele, bo zasłużycie na błogosławieństwo Boskie i dla rówienników waszych staniecie się przykładem godnym naśladowania. Wprawdzie postępowanie takie jest więcej powinnością jak zasługą. Bóg jednak każdy czyn dobry, czy wielki — czy mały, jednakowo sądzi i nagradza, Chrystus Pan w Ewangelji jasno to przedstawia.

Onego czasu — powiada święta ta nauka — gospodarz zgromadził do pracy przy swej winnicy robotników, ugodził się z nimi o zapłatę, i choć później inni przybyli i zaczęli pracę w południe, jednak gdy się dzień skończył, wszystkim jednakowe dał wynagrodzenie. Zobaczywszy to pierwsi, zaczęli szemrać, powiadając: ci ostatni mało robili a uczyniłeś ich równymi nam, którzy znosiłśmy ciężar dnia całego i upału. Gospodarz odrzekł na to:

— Przyjaciele, nie czynię wam żadnej krzywdy, bo zapłaciłem tak jak przyrzekłem. A jeżeli drugich tak samo wynagrodziłem, czyż nie mam prawa czynić jak chcę?

Tak moi drodzy, Bóg jednakowo dobre czyny tak wielkie jak małe wynagradza. Dobroczyńcą całej ludzkości nie każdy być może i potrafi, ale dobrym synem lub córką, dobrym później obywatelem lub obywatelką każdy stać się może lub powinien. Wszystkich zaś dobrych Bóg jedną zapłatą obdarzy, bo czyny ich sądzi nie wedle wielkości ale według możności. Kto sto reńskich może złożyć na ofiarę a da tylko dwadzieścia, ten mniej zrobi jak biedak co się ostatnią kromką chleba podzieli z nędzarzem wygłodzonym.

Co możecie robić dobrego — to róbcie; — nie możecie nic innego tylko kochać rodziców i być im posłusznymi — **róbcie to** byle z całem sercem i z całą gorliwością, a *Bóg otoczy* was błogosławieństwem jednakowo jak tych ludzi, których cały świat wielbi i stawia im pomniki swojej czci.

Dla Jadwisi Wysockiej

najdawniejszej czytelniczki „Opiekuna".

Czy wiesz Jadziu, co to jest życie?
O! to jest podróż, długa — daleka,
A w tej podróży, co cię tam czeka,
Bóg to wie tylko! ty nie wiesz dziecię.

Ale by drogę przebyć bespiecznie,
Trzeba uzbroić siebie koniecznie;
Lecz czy kobiecie przystała zbroja?
Spytasz się może Jadwisiu moja.

O! tak kochanie! o! tak — przystała!
Ty ją masz także: — matka ci dała.

Zbroją kobiety: *wiary potęga*,
I ta pokora, co w niebo sięga,
A w ziemskim pyle nie wala czoła.

Zbroją kobiety: *modlitwa czysta*,
Miłość ku Bogu, silna ognista,
Co zdobi nawet anioła.

Zbroją kobiety *nadzieja owa*,
Co ziarno szczęścia przyszłego chowa,
Na miękkiej serca swojego roli.

Zbroją kobiety: *cierpliwość święta*,
Co wszystko znosi, co nie pamięta
Rany zadanej, choć boli.

Wreszcie jej zbroją: *miłość dla świata*,
Co chociaż ziemska, z niebem się brata,
Bo wzięła początek w niebie.

A więc Jadwisiu, gdy jesteś zbrojna,
Wstępuj w to życie, choć życie — wojna,
Lecz czeka zwycieztwo ciebie!!

Wspomnienie z mojej młodości.

Pamiętam, że w latach moich młodzieńczych niezmiernie we wszystkiem byłem wybredny i grymaśny. Mleko było zawsze za chude, masło nie świeże, chleb za czarny, potrawy niesmaczne, a jeżeli mi rodzice sprawili nowe ubranie, to nigdy mi się zupełnie nie podobało, ale zawsze jakieś inne u kogoś widziane zdawało mi się strojniejsze i dogodniejsze. To samo było i z zabawą: kiedy było wiele osób, tom pragnął mniejszego towarzystwa; gdy było mało, tęskniłem za większem zgromadzeniem. — W teatrze już w połowie przedstawienia ziewałem, a na przechadzce prędko się nużyłem, namawiając wszystkich do powrotu. Byłem więc nieznośnym i dla drugich i dla siebie. Ojciec zawsze mi mówił kiedym chodził skrzywiony, jak po wypiciu jakiéj goryczy:

— Ej! Stasiu grymasisz. Za dobrze ci w domu, za wiele masz we wszystkiem wygody, więc nie umiesz oceniać dostatku jaki cię otacza. W późniejszym wieku nie będzie ci tak może dobrze jak w rodzicielskim domu, staraj się więc więcej zajmować pracą, a zaręczam ci że chleb z solą lepiéj ci będzie smakować jak dziś najsmakowitsze frykasy. — Trud, praca, znój to najlepsi kucharze, najwyborniejsi krawcy i najpewniejsi szafarze wesołości i zadowolenia.

Słuchałem téj rozumnéj mowy mego kochanego ojca z wielkiem poszanowaniem, ale właściwego jéj znaczenia dobrze nie pojmowałem, a raczéj nie rozważałem jéj tak jak na to zasługiwała i zawsze byłem kwaśny, nudny, tęskniący i nigdy z niczego nie kontent. W ostatnich latach mego pobytu w domu mieszkaliśmy w Poznańskiem. Przy końcu grudnia korzystając z dobréj sanny, pojechaliśmy sankami odwieźć stryja mieszkającego od nas o cztery mile. Wyjechaliśmy zaraz po obiedzie, mając nadzieję równo ze zmierzchem stanąć na miejscu. Ale w większej połowie drogi powstała zawieja, zaczął śnieg padać, i tak wszystko zasłonił, że nietylko straciliśmy ślad wszelkiéj drogi, nic nie widząc przed sobą o kilkanaście kroków, ale nawet niewiedzieliśmy w jakiéj znajdujemy się stronie i gdzie jechać należy. Ze zmierzchem położenie nasze jeszcze się bardziéj pogorszyło; jechaliśmy ciągle prawie noga za nogą, wpadaliśmy to w rowy, to w doły, tłukliśmy się to po zagonach, to po łąkach, a jednak nigdzie na drogę niepodobna było natrafić. A tu wiatr wieje przejmując ubranie do saméj skóry, śnieg siecze, zaprusza całą twarz, wciska się za okrycia, za kołnierze, a topniejąc przenika wilgocią okrycia, futra, surduty aż do saméj niemal koszuli. Na dobitkę głód nam zaczął dokuczać, pragnienie palić i brodząc w śniegu czasem po kolana za wyszukaniem drogi, co chwila bardziéj upadaliśmy ze znużenia. Najwięcej byliśmy niespokojni o siostry, młode panienki, które z zimna, głodu i przemoknięcia mogły albo zostać na miejscu, albo ciężkiej nabawić się choroby. Ja sam byłem pewny, że już nie wytrzymam, że omdlały padnę gdzie w pierwszéj lepszéj zaspie, aby z niéj się już nie wygramolić. Jeden tylko ojciec co nie tracił przytomności i nietylko dodawał odwagi, ale jeszcze wszystkich otaczał troskliwą swoją opieką.

Podróż nasza byłaby zapewne bardzo się smutnie zakończyła, gdyby nie nagłe ukazanie się światełka, do którego zaraz skierowaliśmy sanie. Gdy-

by to była psia buda, byłbym ją uściskał i wycałował, jakże więc zachwyciłem się, ujrzawszy w parę minut potem dom obszerny, porządnie zabudowany, z którego wnętrza buchał blask z ogniska kominkowego; gwar ludzkiéj rozmowy. Skostniali, znużeni, przemoknięci do nitki, a przytem głodni, zaledwie wygramoliliśmy się z sani, a gdy nas w izbie owiało miłe ciepło i zaleciała woń kuchennéj przyprawy, sądziłem, że się dostałem do raju, że nie ludzi ale aniołów mamy przed sobą. Gospodarze poczciwi Niemcy, przyjęli nas z wielkiem współczuciem, podniecili ogień i zajęli się ściągnięciem ubrania, już po części z mrozu nowo-powstającego, stwardniałego jak drzewo. Była to już dziesiąta godzina, więc przeszło sześć godzin błądziliśmy.

— Nie wiem tylko Stasiu — odezwał się ojciec — czy spodoba ci się izba tak uboga, bo to prosta karczma? Możebyś wolał w saniach dnia doczekać?

— Za żadne w świecie pieniądze — odrzekłem — cóż to za rozkosz tak się przy ogniu wygrzewać!..

Ponieważ tak siostry jak my musieliśmy zdjąć z siebie ubranie dla osuszenia się, każde więc z nas przywdziało co tylko było pod ręką z różnych gratów domowych, spencerki, kabaciki, kaftaniki, a ja nawet zdjąłem buty i wdziałem jakieś chodaki, a na wierzch płócienną weretę.

— Zdejm Stasiu tę kitlę — odezwał się ojciec — zdejm chodaki z nóg, czyż podobna abyś ty z tak wybrednym gustem mógł choć chwilę używać tak prostego i niewygodnego ubrania?

Zarumieniłem się, gdyż teraz dopiero pojąłem właściwe znaczenie słów ojca. Nic więc nie odrzekłem, ucałowałem mu tylko rękę i spojrzałem z wielką radością na ogień co mnie ogrzewał i na ubranie, w jakiem się znajdowałem.

Przez czas naszego przebierania się, poczciwa Niemka usmażyła jajecznicy i wkrajała w nią drobno usiekanéj szynki, w ognisku zaś kominkowym piekły się kartofle, do których przyrzekła dać nam masła troszkę, jak powiadała nieświeżego, ale lepszego nie miała. Ugotowano przytem piwa podprawnego jajami, więc nas czekał bal prawdziwy. Kiedy polewka zapieniła się w szklankach i wyciągnąłem już rękę po należną mi porcję, ojciec trącił mnie lekko w ramię i rzekł tajemniczo:

— Stasiu, nie bierz szklanki, piwo słabe jakby zwietrzałe, gorzkie, nieosłodzone, nie będzie ci smakować. Jajecznicy także nie dotykaj, bo masło stare jak świat, a szynka coś stęchlizną zatrąca.

— Wiem kochany ojcze dlaczego tak mówisz, odrzekłem troszkę zawstydzony — ale żeby piwo było do serwatki podobne, masło do zepsutéj pomady, a szynka do suchych wiórów, tobym jadł wszystko z największą chciwością, zbierał każdy uroniony okruszek, każdą upadłą kropelkę.

Ojciec uśmiechnął się i mówił dalej:

— Cieszy mnie niezmiernie tak pomyślna zmiana twego apetytu, ale zapewne po wieczerzy pójdziesz spać do stajni. Towarzystwo tutejsze nie odpowiednie zupełnie twemu przyzwyczajeniu.....

— Żeby nawet z samych dzikich ludzi było złożone — przerwałem — to go za nic w świecie nie porzucę.

— Ale zaduch, ciasnota...

— Wszystko mój ojcze mimo tego zdaje mi się pałacem, salonem najpyszniejszym. Polewka to nektar, jajecznica wyborna, a kartofli tak smacznych w życiu nie jadłem.

— Zapewne jednak nie zjesz wszystkiego i jak zwykle skubniesz troszeczkę, rozgmerzesz na talerzu i zostawisz. Wynieś więc zaraz naszym stajennym...

— Mój ojcze nie zrobię tego — przerwałem — zaręczam, że przypadającą na mnie porcję nie zjem ale połknę. A jeżeli talerze nie będą bardzo twarde, to kto wie, czy i ich nie chrupnę. Stajenni więc nic ze mnie nie skorzystają.

— To szczególna — odezwał się ojciec — zkąd taka zmiana we wszystkich nawyknieniach? Czy ty czasem nie chory Stasiu?

— Zdrów jestem jak ryba — odrzekłem — tylko własnem doświadczeniem poznałem, jak dotąd byłem wszystkiem przesycony.

W kwandrans potem pożywieni nienajgorzéj, ale nienasyceni, rozłożyliśmy się na podłodze przed kominem. Ja leżałem wprost ogniska z wyciągniętemi nogami obutemi w chodaki i pończochy po kolana: dalej dwaj nasi bracia cioteczni, z których Karol już do drugiéj szklanicy z polewką wyciągał rękę. Przy samym kominie pilnując piekących się kartofli, siedziała siostra Marynia, naprzeciw niéj poczciwa nasza gosposia w kapturze niemieckich wieśniaków na głowie, po za którą wcisnęła się Elżbieta druga moja siostra, pragnąc dowiedzieć się, jak prędko kartofle będą gotowe. Na boku przy stoliku siedział ojciec, racząc się gorącą polewką, którą poważny gospodarz hojnie nas częstował.

Kiedy tak weselimy się żartując z naszych ubiorów, ozwały się skrzypki, na których dość wprawna ręka zaczęła wygrywać krakowiaka. Nauczyciel wiejski sprawił nam taką niespodziankę. Krzyknąłem ochoczo, czem pobudzeni dwaj wieśniacy ująwszy się w parę zaczęli pod ścianą przytupywać. To nam dodało ochoty, zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi i daléj w pląsy.

Zabawa trwała z godzinę i dopiero po północy

na prostych posłaniach ze słomy i siana układliśmy się na spoczynek. Sen miałem wyborny, jakiego może nigdy w najmiększych puchach nie użyłem, a kiedy się zbudziliśmy była już godzina ósma rano.

Nocy têj nigdy nie zapomnę, do dziś dnia wspominam o niéj z największą przyjemnością i radzę każdemu młodzieńcowi lub panience, lubiącemu wybredzać i grymasić, poznać co to jest prawdziwy głód i niewygoda, a zaręczam, że odrazu pozbędą się tych wad nieznośnych, które w życiu bardzo wiele przyczyniają bezpotrzebnych przykrości.

J. Z.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

(dokończenie)

Ustępy z sielanki Wiesław.

Wspomniałem wam, iż jedną z najpiękniejszych prac Brodzińskiego jest sielanka, pod tytułem „Wiesław.“ Utwor ten poetyczny nazwano od wyrazu sielskość sielanką dla tego, że jest poświęcony opisom życia wiejskiego, obyczajów jego mieszkańców, ich pracom i wszystkiemu temu, co ich wyróżnia od ludności w miastach zamieszkałej. Poeta biorący taki przedmiot za treść swojej pracy, stara się w jak najpiękniejszym przedstawić obrazie, i nie dotykając nic zdrożnego, opisuje tylko to, co jest piękne, dobre, szlachetne, co może zniewolić serca czytelników dla skromnych mieszkańców wioski.

Opowiem wam treść sielanki „Wiesław“, i przytoczę niektóre ustępy, a przyznacie, iż i piękną i bardzo wdzięczną jest ta praca naszego Kazimierza.

Na początku wprowadza poeta starego zamożnego wieśniaka Stanisława i żonę jego, którzy utraciwszy w czasie napadu Tatarów pierworodną swą córkę, przybrali za syna sierotę Wiesława, wychowali go w swej chacie, wraz z drugą córką, którą mu za żonę, gdy ta dorośnie, przeznaczyli. Stanisław, któremu Wiesław jest już pomocą i podporą, wyprawia go w Krakowskie, gdzie ma parę koni zakupić. Wiesław spełnia polecenie przybranego ojca i powraca do wsi rodzinnej.

Już wonny wietrzyk uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie,
Parskając konie, biegną po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu *)
Biją drużbowie w podkówki ze stali,
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta zarządca wesela:
Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela,
Witajcież do nas, wy z Proszowskiej ziemi.
Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi.
Napatrzycie się krakowskim dziewojom,
Wymyślnym tańcom i przecudnym strojom,
Wreszcie i w tany sunąć nie zawadzi,
Bo choć strudzeni, widzę żeście młodzi.

Wiesław zaproszony wstępuje do gościnnej chaty i łączy się z wesołą drużyną weselną, poczem według zwyczaju idzie w taniec z pierwszą drużką, którą była piękna Halina.

Poeta opisuje teraz prześliczny nasz narodowy taniec, zwany Krakowiakiem.

Wiesław wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje,
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą,
W skrzypce i basy sypnął ręką chojnie *)
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie,
Halina pląsa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą,
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi,
I zaczął nucić słowy takiemi: i. t. d.

Kończy się Krakowiak, ale zabawa trwa noc całą, dopiero o świcie Wiesław żegna weselne grono i w drogę się puszcza. Ale pełen jest troski i niepokoju, bo wie oddawna, że mu jego dobroczyńca i ojciec przybrany Bronikę za żonę przeznacza, a on sobie Halinę serdecznie upodobał. Po długiem wahaniu się i walce z samym sobą, postanawia otwarcie wszystko wypowiedzieć i zdać się na wolę ojców.

Gdy przybył do chaty Stanisława, serdecznie witany Wiesław zasiada do stołu, lecz jest smutny i zamyślony, dziwią się wszyscy jego milczeniu i zadumie i pytają o przyczynę. Wtedy Wiesław schyla się do nóg Stanisławowi i tak rzewnie mówić zaczyna:

Czemużem w domu nie został na wieki?
Wdzięczen łask tyle i waszej opieki.
Ojcowie moi już królują w niebie
Wyście sierotę przyjęli do siebie,
Nie żałowali ni trosków, ni chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba.
Dziś jedynaczkę córkę w swojej chacie,
Dla mnie w zamęście i z wianem chowacie,

---

n) znaczy tyle co przy weselu.

o) znaczy tyle co grajkom dał pieniędzy, wsuwając takowe dziurką do basów według zwyczaju.

Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi,
Inaczej myśli Bóg o swej czeladzi.

Na mojej drodze pośród jednej wioski,
Poznałem druchnę, której wdzięk uroczy,
Zabrał mi serce i zniewolił oczy,
I tyle sprawił, że odtąd jedynie,
Sercem i duszą jestem przy Halinie.
Puśćcie mnie, puśćcie z rękami gołemi,
Pracować będę pomiędzy obcymi.

Na te słowa matka zalewa się łzami i wychodzi z chaty. Ojciec zaś gorzko wymawia Wiesławowi niewdzięczność, że go chce na starość porzucić, nakoniec odmawia mu pozwolenia i błogosławieństwa. Wiesław przyjmuje ten wyrok pokornie i w milczeniu. Wtedy odzywa się stary Jan, sąsiad i przyjaciel Stanisława który był przytomny całej rozmowie. Ten stara się ułagodzić starego przyjaciela, i przypomina mu, że nie godzi się zagradzać drogi do szczęścia młodemu poczciwemu chłopcu, który im już tyle uciechy sprawił i tyle jeszcze sprawić może. Rozczulony Stanisław przebacza Wiesławowi, ale żali się na doznany zawód, bo pragnął od lat tylu cały zebrany dobytek i chatę Wiesławowi zostawić, a tu wszystko stać się ma inaczej.

Wierny jednak przyrzeczeniu, które dał Stanisławowi, mówi do Wiesława:

Uprośże Jana, wezwij jego rady,
Może sam z tobą uda się na zwiady,
Może się wszystko inaczej wyświeci:
Co z wiatrem przyszło, to z wiatrem uleci...
Lecz jeżli przyszła serce tobie święci,
Jeżli rodziny poznasz dobre chęci,
Uproś sąsiada, niechaj zacznie swaty,
Jak syn synowę przywieś mi do chaty.

W następnej części widzimy Wiesława jadącego z Janem do wioski, w której mieszka Halina. Przybywszy na miejsce, zbliżają się do chaty i stanąwszy za płotem, śpiewają pieśń, którą lud krakowski śpiewa przy oświadczynach:

Przyjdzie młodzian z obcej błoni,
Ojcu, matce się pokłoni,
Zerwie panna swoje kwiaty,
Do teściowej pójdzie chaty.

Otwierajcie, przyszli goście!
I życzliwie w dom zaproście,
Chociaż obcym bądźcie radzi
Dobra nas tu chęć prowadzi!

Tu otwierają się drzwi chaty, gdzie mieszka Halina ze starą matką i rozpoczyna się obrządek zaręczyn, jak je lud w Krakowskiem odbywa. Matka każe Halinie przysposabiać wieczerzę, tymczasem Wiesław wydobywa flaszkę z koszyka, a Jan w pięknie ułożonej mowie opowiada o celu, w którym tu przyszli. Wiesław nalewa kubek miodu i podaje Halinie, która zmięszana i drząca spogląda na matkę pytającem okiem a nakoniec odwróciwszy się, zakrywa głowę białą szatą i wypija połowę miodu. Resztę aż do dna wychyla uszczęśliwiony Wiesław, który wie już teraz, że Halina dobrze mu życzy, a Jan zachęcony tem dobrem powodzeniem, dalej ciągnie swoją mowę. Opowiada szeroko o zaletach Wiesława, o dobrym bycie jego przybranych rodziców, nakoniec powtarza wyrazy, któremi stary Stanisław upoważnił syna, aby upodobaną sobie dziewczynę jako synowę do chaty mu przywiózł.

— Nie dla Haliny to szczęście o którym mówicie, odpowiada stara matka z rozrzewnieniem. Sumienie każe mi wyjawić, że Halina nie jest moją córką ale sierotą po nieznanych rodzicach. Dawno to było, gdy Tatarzy kraj plądrowali i gdy poszedł mój mąż na Tatara i nie powrócił. Poszło z nim i wielu innych a tymczasem starcy, niewiasty i dzieci chronili się w głąb lasów, bo wsie płonęły. Nakoniec zajęły się i sosny w lasach, okropny to był dzień. Wtedy to wśród tłumu uciekających spotkałam Halinę samą i zapłakaną. Przytuliłam ją do serca i odtąd nie rozstałyśmy się. Całe życie Halina przepracowała ze mną; ale dziś nie ma nikogo coby o jej wianie pomyślał. Obydwieśmy biedne, obydwieśmy sieroty. Opowiedźcie to tym, co was posłali — my będziemy sobie dalej pracować, wzywając Boskiej opieki.

Na to Halinie łza z oka wytryska,
Klęka przed matką za kolana ściska:
O miła matko! tyś jest moje wiano,
Choćby mi góry ze złota dawano,
Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
Jedwabne szaty chowała w komorze,
Tobym bez ciebie przepłakała życie...

— I ściskały się, płacząc, gdy tymczasem nadzieja wielkiego szczęścia dla obydwóch rodzin błysnęła w duszy Jana, który wiedział, że córka Stanisława zginęła była podczas napadu Tatarów. Wstrzymując więc Wiesława, któremu podobna myśl także zajaśniała, prosi o pożyczenie koni i wozu u sąsiada, aby rodzina Wiesława czemprędzej mogła poznać Halinę. Sadzą ją więc na wóz wraz z matką i wszyscy ruszają w drogę. Jan nie spuszcza z oka Haliny, aby dostrzedz na jej twarzy, czy się jej ta okolica nie wyda znajomą. Halina z początku śmiejąca i wesoła, coraz bardziej poważnieje, zbliżając się do wsi rodzinnej Wiesława. Stają nakoniec na wzgórzu, które już jedno tylko staje od wsi oddziela, Halina wpatruje się

w okolicę, a szczególnie zajmuje ją krzyż przy drodze stojący do koła wierzbami otoczony. Widok tego krzyża obudza w duszy Haliny dziecinnych lat wspomnienia, poznaje, iż to jej rodzinna wioska, i wśród łez radośnych, tak się odzywa do Jana:

Mocny mój Boże! to moja rodzina!
Gdzie moja matka? gdzie moja jedyna?
Jeśli już w grobie, na grób jej pójść muszę.
Tu utęsknioną niech wyzionę duszę!
Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiatki,
Ale nie widzę rodzicielskiej chatki!

Na to Jan odpowiada, iż chatka kiedyś tu stała rzeczywiście, lecz po pożarze gdzieindziej ją postawiono, i że w niej i matka i ojciec i siostra Haliny dotąd mieszkają i są w pełnem zdrowiu. Nie było już bowiem dla Jana wątpliwości, że Halina jest ową córką Stanisława, która podczas owego napadu Tatarów zginęła.

Stanisław i jego żona poznawszy w Halinie utraconą córkę, z najwyższą radością błogosławią jej związkowi z Wiesławem.

Całą opowieść kończy Brodziński temi słowy:

Tak się witała rodzina złączona,
Jedno drugiemu padając do łona,
Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi,
Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi,
Jako Bronika starszą siostrę ściska,
Nie znając straty, a czując co zyska,
Tego wam moi mili towarzysze,
Jakobym pragnął, nigdy nie opiszę.

A. K.

Władysław Jagiełło i Krzyżacy.

Zakon rycerski Krzyżakami u nas zwany był przez długi szereg lat prawdziwą klęską dla Polski.

Początek tego zakonu sięga czasów tak zwanych wojen Krzyżowych, które rycerze z różnych krajów Europy prowadzili przez półtora sta przeszło lat z Mahometanami o posiadanie Palestyny. Podczas tych wojen około roku 1190 kilku obywateli niemieckich założyło szpital dla swych rannych rycerzy. Później książę niemiecki Frydrych powziął myśl utworzenia zakonu, któryby obok posług szpitalnych pełnił także służbę rycerską. I tym sposobem z posługaczy zrazu szpitalnych utworzył się zakon rycerski, którego członkowie uroczystą przysięgą zobowiązali się nietylko rannym i chorym nieść wszelkie usługi, lecz nadto w razie wojny z niewiernymi stawać zbrojno w szeregu. Zrazu pełnili chwalebnie ci rycerze zakonni przyjęte na siebie obowiązki, lecz gdy Mahometanie coraz bardziej w Palestynie górę brać poczęli ustał ich zapał, i zamyśleli przenieść się do Europy. Tak więc w roku 1217 poczęli się układać z królem węgierskim Andrzejem o pozwolenie osiedlenia się w Siedmiogrodzie w celu wojowania dzikich jeszcze w ówczas niektórych plemion na Węgrzech. Niedługo jednakże tam popasali, gdyż Andrzej poznał się na ich obłudzie, i nim się jeszcze dobrze zagospodarować potrafili, wygnał ich ze swego kraju. — Pomimo złej sławy, jaką już wtedy ci rycerze zakonni przez swoje łakomstwo, rozpusty i ździerstwa sobie zjednali, książę mazowiecki Konrad, nie mogąc podołać ciągłym napadom dzikich i pogańskich w ówczas Prusaków, zaprosił tych rycerzy do siebie, ofiarując piękny kawał ziemi pod warunkiem bronienia kraju od najazdu pogan i w celu ich nawracania.

Rycerze zakonni, a jak ich u nas Krzyżakami od znaku krzyża wyszytego na płaszczu przezwano, przyjęli zaproszenie i niebawem przybyli do Polski. — Działo się to około roku 1226 — od tego też czasu poczynają się ciągłe kłótnie i spory między Polską a Krzyżakami, bo oni zamiast bronić kraju naszego od najazdów pogan, sami nań napadali, niszczyli grody i miasta, mieszkańców do niewoli zabierali, a nawet kościoły rabowali i księży mordowali. Trzeba wam przytem wspomnieć, iż do Krzyżaków wstępować poczynali rzadko już bardzo uczciwi rycerze, lecz najczęściej tacy, którzy nie mając dostatniego mienia po rodzicach, szukali w świecie — jak to mówią — szczęścia. To też cała hałastra takich ubogich rycerzy niemieckich zapisywała się pod sztandar zakonu, nie w celu spełnienia ślubów, lecz w zamiarze używania dostatków, krzywdą bliźnich zdobytych. Królowie nasi ciągle też staczać musieli boje z dumnymi Krzyżakami, bo chciwość ich nie znała granic.

Pierwszy z królów naszych Władysław Łokietek zadał im stanowczą klęskę. Długo znosił obelgi i naigrawania Krzyżaków, długo patrzył cierpliwie na ich rabunki i łupiestwa nietylko w pogańskiej w ówczas Litwie, lecz i w ziemiach polskich dokonywane, — aż się przebrała miara cierpliwości dobrego króla naszego. Złączywszy się z Litwinami postanowił koniec położyć tym napadom ciągle wyrządzanym.

Po długich przygotowaniach tak ze strony Krzyżaków, którzy stanowczy cios Polsce zadać pragnęli, jako też i ze strony króla Łokietka przyszło w dniu 27. września 1331 do walnej bitwy pod Połowcami, w której Krzyżacy zupełnie pobici zostali. — Wielu dowódzców i 20.000 ry-

cerzy legło na polu bitwy, reszta się rozprószyła albo dostała do niewoli. Jestto jedno z najświetniejszych zwycięztw, jakie Polska w słusznej swej sprawie odniosła.

Od dnia tej pamiętnej bitwy długo Krzyżacy nie mogli przyjść do siebie. Przez cały przeciąg panowania syna Łokietkowego, Kazimierza Wielkiego, chociaż często chytrym podstępem wyłudzali na Polakach wiele korzyści, lecz na otwarty rozbój zdobyć się nie odważyli.

Dopiero za rządów króla Ludwika, który bardziej dbał o swoje Węgry, niż o Polskę, znowu zaczęli krzywdą naszą i Litwinów przychodzić do co raz większych bogactw, a w miarę wzrostu tychże duma ich nie znała granic. Nie było roku w którymby nie wpadli do Litwy i nie zrabowali setki miast i wsi, a wszystko pod pozorem nawracania Litwinów na wiarę chrześcijańską. Nic też dziwnego, że Litwini ani słyszeć chcieli o przyjęciu wiary Chrystusa, skoro Krzyżacy zmuszali ich do jej przyjęcia nie miłością i braterstwem, jak Chrystus zalecał, ale rabunkiem, pożogą i sroższą nad wszystko niewolą. Lecz nietylko tak srodze dokuczali pogańskim Litwinom, ale także, ile razy im się tylko udało, wpadali do Polski a to dla tego, że Polska w ówczas była bardzo bogatą. Mordy te i rabunki Krzyżaków w kraju naszym powtarzały się ciągle za czasów panowania króla Ludwika, aż dopiero gdy córka jego Jadwiga zostawszy królową Polski, zaślubiła księcia litewskiego Jagiełłę, i połączywszy tym sposobem Polskę z Litwą, wzmocniła siły swego narodu, Krzyżacy poczęli się lękać Polski.

Nie mogąc zaś otwarcie toczyć boju, bo Jadwiga wraz ze swym mężem nie siłą oręża, lecz miłością i słowem pociechy Litwinów do wiary chrześcijańskiej nawracała, poczęli Krzyżacy różnemi podłemi sposobami różnić obydwa tak połączone narody.

Widzieli oni, iż w razie zlania się Litwy z Polską w jedną całość, nie będą mogli tak bezkarnie jak dotąd rabować, to też poczęli przeszkadzać temu połączeniu.

Jagiełło zostawszy królem Polski, ustanowił dla Litwy w zastępstwie swoim Wielkim księciem brata swego stryjecznego księcia Witolda. Krzyżacy jęli go podjudzać, by zdradził zaufanie Jagiełły i ogłosił się samoistnym księciem na Litwie. Witold zrazu usłuchał haniebnych podszeptów i wystąpił wraz z nimi przeciw bratu. Byłoby przyszło już wtedy do krwawej wojny, lecz świątobliwa królowa Jadwiga, jak mogła tak godziła wynikłe spory i kłótnie, nie chcąc, by się krew lała niepotrzebnie. Przepowiedziała ona jednakże, iż po jej śmierci Krzyżacy za swe podłe czyny zasłużoną odbiorą karę.

Przepowiednia świątobliwej królowej ziściła się niebawem, Krzyżacy bowiem coraz to bardziej rosnąc w potęgę i podczas długiego pokoju nagromadziwszy wiele skarbów, przygotowywali się do stanowczej wojny z Polakami i Litwinami. Z całych Niemiec gromadzili rycerzy i broń, a podczas tych przygotowań ciągle różnili Jagiełłę z Witoldem, obiecując temu ostatniemu samodzielne panowanie na Litwie.

Witold znowu słuchał ich podszeptów, lecz wspomniawszy sobie na tylokrotne krzywdy przez Krzyżaków Litwie wyrządzane, połączył się wreszcie z Jagiełłą.

Krzyżacy wystąpili pierwsi a mając ogromną liczbę dobrze uzbrojonych żołnierzy i wielkie skarby na prowadzenie wojny, wysłali do Jagiełły groźnych posłów z żądaniem, by odstąpił od przymierza z księciem Witoldem i zupełnie zrzekł się swych praw do Litwy. Gdy atoli król Jagiełło na ich żądanie przystać nie chciał, wtedy ówczesny Wielki Mistrz Krzyżaków Ulryk Jungingen przysłał piśmienne wypowiedzenie wojny. Rozjątrzony do żywego Jagiełło porwał się do korda i wyrzekł te słowa: „Ty do mnie z hramotą o), ja do ciebie z szablą.“ Zaraz też rozesłał król gońców po całym kraju, aby się każdy stawiał zbrojno na oznaczony czas i miejsce.

Zaczęła się więc walka stanowcza, walka z Krzyżakami. Jagiełło i Witold postanowili wszystkie swe siły do przyszłej wojny zgromadzić.

Z Krakowa, zkąd wyruszył pochód wojenny, odbył pobożny Jagiełło boso pielgrzymkę do kościoła świętokrzyskiego, gdzie krzyżem leżąc podczas nabożeństwa ze łzami prosił o zwycięztwo. Również w Czerwińsku, przy cudownym tamtejszym obrazie Matki Bożej bogate złożył dary, i pokrzepiony wiarą i nadzieją, wprost już ruszył naprzeciw Krzyżakom, którzy tymczasem wkroczyli w granice Polski, i wiele miast i grodów jak Dobrzyń, Lipno, Rypin, Bobrowniki zdobyli i złupili.

Dnia 15. 1410 stanęły obydwa wojska na przeciw siebie na równinach między Tannenbergiem a Grunwaldem.

Na wzgórzu przy jeziorze rozbito namiot, w którym Jagiełło leżąc krzyżem słuchał mszy świętej i to z takim zapałem, iż Witold aż go oderwać musiał, bo bój się już rozpoczął. Polacy

---

o) w ówczesnym języku znaczy tyle co urzędowe, poważne pismo, do dzisiaj słowo hramota zatrzymało to znaczenie w języku ruskim.

zajmowali skrzydło lewe, Litwini prawe, śrdkiem szła piechota i wojska najęte w cudzych krajach mianowicie Czesi i Morawcy, niemniej i Tatarzy, których Witold sprowadził.

Krzyżacy liczyli 51 chorągwi tak rycerzy z zakonu, jakoteż z rozmaitych stron Niemiec zebranych.

Przed samym rozpoczęciem boju przysłał Wielki Mistrz, pewny zwycięztwa, dwa miecze Jagielle z szyderczem do boju wezwaniem.

Jagiełło przej ty całą ważnością chwili te pełne znaczenia wyrzekł słowa: „Mieczów mi nie



Mieczów mi nie brak....

brak, ale przyjmuje i te na znak dobrej wróżby, bo tylko zwyciężony oddaje miecz."

Poczem rozpoczęto krwawy bój. Najpierw uderzyli Krzyżacy na prawe skrzydło, gdzie stali Litwini. Pomimo baczności i męztwa Witolda nie wytrzymali Litwini. Wtedy Jagiełło, aż dotąd stojący na uboczu, pospieszył na pomoc i powstrzymał uciekających. W tem natarciu mało że waleczny nasz król nie zginął. Krzyżak nazwiskiem Dippold Kiekieritz godził już w pierś króla, lecz znajdujący się tuż obok młody jeszcze w ówczas Zbigniew Oleśnicki zwalił go z konia i uratował Jagiełłę. Odtąd los bitwy przechylił się na stronę Polaków. Najmężniej potykali się Sieradzanie. Poległ Wielki Mistrz zakonu, chorąży Kerzdorf wyzionął ducha, trzymając w martwej jeszcze dłoni główną chorągiew. Krzyżaków miało zginąć 50siąt tysięcy, tudzież 51 znaków wojennych zabrali Polacy.

Jagiełło jak przed bitwą tak i po niej pobożnie dziękował za tyle łaski i błogosławieństwa, z rannymi i ujętymi w niewolę nakazał się bardzo starownie i uprzejmie obchodzić, a nad trupem Wielkiego Mistrza rzewnie zapłakał.

Cały bogaty obóz i bardzo kosztowne łupy tak w broni jakoteż i odzieży dostały się naszym w zdobyczy. Polacy odnieśli pod Grunwaldem jedno z najpiękniejszych zwycięztw, o jakiem kiedykolwiek dzieje wspominają, a to tem chwalebniejsze, iż we własnej obronie po doznaniu tysiącznych krzywd zniewoleni niejako, do walki stanęli.

Można o tej bitwie powtórzyć starożytną pieśń polską:

„Takci Pan Bóg hardość karci,
A pokora zawżdy płaci,
Sprawiedliwość w bitwie wzmoże,
Daj tak zawżdy wygrać Boże!"

Podczas bitwy, jak podanie niesie, miał się ukazać nad hufcami naszemi św. Stanisław, patron Polski i błogosławić, co wojsku dodało ducha i odwagi.

Zdobyte na Krzyżakach chorągwie odesłał Jagiełło do Krakowa, gdzie je przed wielkim ołtarzem w katedrze pozawieszać kazał, a bogatemi łupami obdzielił rycerstwo i kościoły. Zakon Krzyżaków od czasu tej bitwy już więcej się nie podniósł do takiej potęgi, jaką przedtem posiadał,

a chociaż jeszcze raz z Polską wojnę toczył, toć już więcej ani Litwy ani Polski swemi napadami i łupieztwami nie trapił.

Od tych Krzyżaków pochodzi dzisiejsze państwo pruskie, a jak się to stało i kiedy, inną razą wam opowiem. A. K.

Zosia plotkarka

ROZMOWY Z MAMĄ.

— ZOSIA. Mania to bardzo niszczy sukienki, jak tu była u nas i bawiliśmy się w ogrodzie, to ręce zawsze obcierała spódniczką.

— MAMA. Trzeba jéj było powiedzieć, żeby tego nie robiła.

— ZOSIA. Ej! pogniewałaby się na mnie, a Zygmuntek to jakiś wielki złośnik, bo zawsze z pod oka spogląda.

— MAMA. Już takie ma spojrzenie, a mimo tego może być dobrym chłopczykiem.

— ZOSIA. O! nie jest dobrym, bo mi Mania powiedziała pod wielkim sekretem, że jéj raz dał klapsa takiego bolącego, że długi czas miała plamę czerwoną na ręku. Przeprosił ją późniéj za to, ale zawsze bolało ją bardzo.

— MAMA. To Zygmuntek źle robił, ale i ty nie dobrze robisz, że to powtarzasz.

— ZOSIA. Przecieć Mamie to można.

— MAMA. Mnie to co innego, ale nie komu więcéj, kiedy cię o sekret proszono.

— ZOSIA. Powiedziałam tylko Wacławkowi, żeby się z Zygmusiem miał na ostrożności.

— MAMA. Toś źle zrobiła, bo to plotką się nazywa.

— ZOSIA. A co to jest plotka?

— MAMA. Nazwa ta pochodzi od wyrazu pleść, splatać czyli łączyć różne sznureczki, tasiemki, gałganki w jedną całość. Ludzie co lubią plotki to samo robią, bo co usłyszą o kim, to splatają razem i dla tego nazwali to plotką. Ale to brzydko jest i strzedz się tego należy.

— ZOSIA. Ja nie robię plotek.

— MAMA. Owszem, bo już teraz zrobiłaś plotkę.

— ZOSIA. A to jaką?

— MAMA. Tylko zastanów się dobrze. O Mani powiedziałaś że niszczy sukienki, o Zygmusiu że musi być złośnik bo zawsze z pod oka spogląda. Do tego przyczepiłaś klapsa, którego dał Mani a potem powiedziałaś to Wacławkowi, żeby się miał na baczeniu. Przez to wystawiłaś Zygmusia jak najgorzéj, chociaż on prosił Mani o przebaczenie i żałował swojéj niegrzeczności. Wacławek teraz go będzie unikał, choć Zygmuś na to nie zasługuje, bo błąd swój uznał. Poróżniłaś więc dwóch chłopczyków z sobą, jedynie przez zrobienie plotki. Czy to ładnie?

— ZOSIA. O! nieładnie moja Mameczko i od dziś dnia przyrzekam, że się w żadne nigdy nie wdam plotki.

— WACŁAWEK. Dla czego w mieście tak wiele mieszka ludzi, a na wsi tak mało?

— MAMA. Bo w mieście żyją z przemysłu i handlu więc większe skupienie ludności jest potrzebne.

— WACŁAWEK. A z kadże ludzie w mieście na wyżywienie biorą chleb i mięso?

— MAMA. Ze wsi które im codziennie przywożą.

— WACŁAWEK. To miasta są ciężarem dla rolników.

— MAMA. Mylisz się, bo żeby miast nie było, ktoby zboże na chleb kupował, i zkądżeby wziął się cukier, kawa, herbata, świece, skóry sukno i inne rzeczy, które w mieście nabywamy.

— WACŁAWEK. Zawsze jednak rolnicy są użyteczniejsi jak w miastach zamieszkali, bo żeby rolników nie było, toby nie było chleba.

— MAMA. To prawda, ale żeby miast nie było toby rolnik nie miał czem około roli pracować. Nie miałby pługa do jéj wyorania, sierpa i kosy do pożęcia zboża, nie miałby siekiery, noża, łyżki, sukna, skóry na buty, słowem rolnik byłby najnieszczęśliwszym człowiekiem, bo wszystko około roli musiałby robić własnemi rękami. Rolnik więc karmi kupca i rzemieślnika, a ci wspomagają rolnika: wszyscy więc są pracownikami, a ten z nich lepszy, który lepiéj i gorliwiéj pracuje.

—WACŁAWEK. To ja lepszy jestem od Józia, bo się lepiéj uczę od niego.

— MAMA. Nie jesteś lepszy, bo on lepiéj od ciebie przykłada się do muzyki, a jednak nie przechwala się i nie wywyższa nad ciebie.

— WACŁAWEK. A kiedy to prawda, że ja się lepiéj od Józia uczę, a Mama każe zawsze prawdę mówić.

— MAMA. Prawdę zawsze trzeba mówić, ale chwalić się samemu nie należy. Co człowiek dobrego robi, to Bóg widzi i nagrodzi, a ludzie sami pochwalą.

Rybałt.

Wybitną postacią w dawnych czasach był Rybałt, którego nazwa jak i obowiązki do niego przywiązane, z Włoch wzięły początek. Ribaldo

albo Rubaldo znaczy po włosku psalmistę, kościelnego śpiewaka, ztąd powstał i u nas Rybałt, który nie tylko był przywiązanym do kościoła, ale nadto i pieśni okolicznościowe roznosił po całym obszarze kraju, przypominając sławniejsze wypadki.

Pierwsze wzmianki o Rybałtach napotykamy w początkach XIV. wieku, a później coraz ich więcej przybywało wędrujących, wszędzie i zawsze znajdujących jak najlepsze dla siebie przyjęcie. Przy każdym bowiem wówczas kościele parafialnym znajdowali się śpiewacy, a przy wielu zamkach i dworach bogatszych utrzymywano na dworze kapele, Rybałt zatem jako znający muzykę i umiejący, jak powiadano, ciągnąć gardłem uciesznie pieśni i poważne dumy, z radością był witany, goszczony i zatrzymywany, i gdy w kościele chwalił pieśnią Pana Niebieskiego, we dworach i zamkach panów ziemskich darzył wesołością, albo serca ich rozrzewniał opisem bohaterskich czynów. Mimo tego pod jednym dachem nie lubił długo zagrzewać miejsca: — gość, powiadał, to jak ryba przejada się prędko, a i miód słodki równie kwaśnym się staje nad miarę użyty.

W kapeluszu więc z szerokiemi skrzydłami, w szerokiej opończy, z kosturem w ręku dobrze okutym, Rybałt szedł od wsi do wsi, bez sakwy lub jakich zapasów, bo byle miasto, dwór lub klasztor wszędzie znajdował sytą gościnę i hojny datek na drogę.

Rybałci dzielili się na dwa rodzaje: jedni mieszkali przy kościołach i dopomogając śpiewem przy nabożeństwach, uczyli dzieci w szkołach elementarnych; drudzy zaś znajdowali się w ciągłej wędrówce i dopiero uciuławszy sobie grosza osiadali na stare lata w Krakowie lub w innych miastach, albo wioskach rodzinnych. Ze wszystkich najsławniejszymi byli Rybałtowie z Podgórza i dla tego nazywano ich Podgórczykami, a że każdy z nich grał zwykle na skrzypkach lub jakim dętym instrumencie, więc czasem zebrawszy się w kilku lub kilkunastu tworzyli nie złą kapelę, szczególniej pożądaną w dnie zapustne przeznaczone do tańca i uciechy.

Pomiędzy rokiem 1619 a 1640 słynął Rybałt Marcin Zięba, który nie tylko że umiał grać na wielu instrumentach, ale nadto posiadał głos tak miły i wyuczony, że i syrena powiadano, milszym głosem śpiewać nie umiała. Miał siedmiu towarzyszy, z któremi chodził po całym kraju; pomiędzy pieśniami jakich niezliczoną umiał ilość, wspominają dawne kroniki, że śpiewał o św. Stanisławie, o Piotrowinie, o Barbarze Radziwiłłównie, o bitwie pod Grünwaldem i wzięciu Gdańska przez Stefana Batorego. Po kilkunastu latach włóczęgi, rozstał się ze swymi towarzyszami, później jeszcze przez lat kilka chodził samotny, aż wreszcie w r. 1640 znaleziono go w polu pod jesień w okolicy Krakowa leżącego bez duszy.

Dopóki Rybałtowie idąc za prawdziwem natchnieniem, pilnowali stanu swego z całem zamiłowaniem i poświęceniem dla sztuki a nie dla zysków, dopóty skarbili sobie powszechny szacunek, miłość i poważanie. Obyczaje ich wówczas były proste, życie zacne, myśli poczciwe, mowa szlachetna, ale bogacąc się, psując dobrym bytem i nabytem mieniem, pomału wzbyli się ze wszystkich przymiotów, a nabrali sprosnych nałogów, które tak ich podały w ogólną ohydę, że przy końcu wieku XVII. Rybałtowie zupełnie znikli i znani tylko byli z nazwiska. Wina jednak pod tym względem nie ich samych tylko dotyka; popsuli się ci wędrowni muzycy, bo psuł się cały naród, pragnąc z nich pożytku nie w celu podniecania duszy do szlachetnych czynów, ale tylko w celu zabawki i chwilowej uciechy, choćby sprośnej. Na Rybałtów więc zaczęli iść już nie prawdziwi poeci ze świętem natchnieniem w piersi, ale spekulanci, wydrwigrosze, umiejąc słuchaczom pochlebiać i chować grosze do sakwy, a nie dawać im słowa pełne namaszczenia poetycznego. W tem ogólnem psuciu i rozpadaniu się w gruzy mogliż sami tylko Rybałtowie wyjść bez szwanku?

Marcin Zięba podobno był ostatnim Rybałtem co lepsze czasy zapamiętał, a i on choć znany i poważany jakże skończył? Samotny, opuszczony, biedny, wyzionął ducha pod sklepieniem niebios, nie mając nawet kącika, gdzieby głowę swoją mógł schronić.

Dzionek dobrej Stasi.

Niektórym dzieciom wydaje się to niepodobnem, aby cały dzień były grzecznemi; gdy ich starsi strofują, wytrzymują godzinkę jaką, ale wkrótce zapominają łatwo napomnień i obietnic, nuż figle i psoty, które zwykle kończą się łzami i skargą przed matką. Stefcia skacząc z krzesła na ziemię, upadła i zrobiła sobie wielkiego guza na czole, krzyczy i płacze a matka jej powiada: „mówiłam Stefci, że skakać po krzesłach nie można.“ Tam znów Miecio małemu braciszkowi Zygmuntkowi, co jeszcze chodzić nie umie, trąbi z całych sił w uszy, dziecko płacze, a matka woła: „Mieciu daj pokój, nie rób tego drugiemu, co tobie niemiło.“ Cesio ciągle bawił się scyzorykiem i skaleczył sobie paluszek, krzyczy, że go boli, matka mu nato: „tyle razy mówiłam Cesiowi, że się skaleczysz, scyzorek nie jest do zabawy.“

Niegrzeczne, nieusłuchliwe dzieci bywają wielkiem zmartwieniem rodziców i ciągłym, nieustającym dla nich kłopotem. Dobre zaś i posłuszne są ich chlubą, miłością i pociechą, a ktoreżby z was moje miłe dzieci niechciało być takiem? Jestem pewny, że wszystkie zarówno kochacie swoich rodziców, tyle im będąc winne pieczołowitości starań i trudów, jakie podejmują koło waszego wychowania. Nie przypuszczam więc, aby w tym tak pięknym świecie znajdowało się choć jedno do tyle złe dziecko, któreby nie kochało swego ojca i matki i nie pragnęło być ich chlubą, miłością i pociechą! Nie jest tak trudno stać się dobrym i grzecznym, trochę tylko dobrej chęci i woli, trochę uwagi, łaska Boska jak zawsze, jak wszędzie, jak we wszystkiem i tu dopomoże!

Znam dobrą dziewczynkę, na imie jej Stasia, kochana jest od rodziców i wszystkich w domu, nikt się na nią nigdy nie gniewa, służący jej chętnie usługują, ona sama zaś jest swobodną i wesołą zawsze jak ptaszek. Przypatrzmy się Stasi, jak to ona spędza swój dzionek, a może podchwycimy ten sekrecik, co czynić trzeba, aby nas wszyscy kochali i aby na nas nikt się nie gniewał.

Stasia ośmioletnia dziewczynka z ślicznemi ciemnemi oczkami, jak tylko obudzi się rano, przeżegnawszy się zaraz, wstaje cichutko z łóżeczka, ubiera się sama bez chałasu, aby nie obudzić matki i ojca, myje się i czesze nie grymasząc, jak to często robią niegrzeczne dzieci. Gdy jej czego brakuje do ubrania, albo sobie poradzić nie może, prosi grzecznie oto Karolki. Karolka wie o wszystkiem gdzie co schowane, ona szyje dzieciom sukienki i koszulki, naprawia i przyszywa oderwane haftki i guziczki. Matka bardzo lubi Karolkę, jak z domu wychodzi jej opiece poleca dzieci. Stasia już się ubrała, klęka więc do pacierza, zmówi go wolno, wyraźnie z uwagą. Pojmuje, że modlitwa to prośba do Boga, rozmowa z tym co stworzył świat, słońce i gwiazdy, tyle wielkich i pięknych rzeczy, z tym który dzierzy w swem ręku burze i pioruny, a przecież ojcem nam zwać się każe! Kiedy Stasia mówi paciorek, chciałbym zgromadzić w koło niej wiele a wiele dzieci, by się przypatrzyły, jak ona klęczy pokornie ze złożonemi rączkami, jak w górę wznosi śliczne oczęta i słodko wymawia wyrazy świętej modlitwy. Istny aniołek z obrazka! Powiedziałbym wam moje dzieci, że cały dzień zależy od tego tak pięknie odmówionego paciorka. Jeżeli dziecko mówi pacierz z niechęcia jak z przymusu, niby za pokutę, cały dzień mu się nie wiedzie, praca, nauka i zabawa jakoś nie idzie, bo jest z siebie nie zadowolone czegoś, chmurzy się i gniewa bez przyczyny. Abym wam lepiej upamiętnił co mówię o uszanowaniu Stasi dla modlitwy, powiem, iż zdarzyło się dnia jednego właśnie kiedy Stasia klęczała przy pacierzu, że matka jej chora zemdlała. Wszyscy z domu poczęli krzątać się z ratunkiem, wszyscy zajęci słabą zapomnieli o Stasi. Matka przyszedłszy do siebie w dobre trzy kwadranse potem, widząc inne dzieci w koło siebie oprócz Stasi, zaczęła się o nią dopytywać A Stasia jak pierwej klęczy jeszcze, i jak pierwej ma złożone rączki, tylko w ślicznych oczkach łezki się kręciły i bardziej pobladła twarzyczka. Zapytana przez matkę: ,,czemu jeszcze klęczy?" powiedziała rozżalona dziewczynka: ,,Pacierz mi się zmylił, a nie śmiałam wstać nieskończywszy całego." Matka ucałowała Stasię z tkliwością. A dziecko które takiem jest dla Pana Boga, nie potrafi być złem dla rodziców i innych.

Stasia wstawszy od pacierza, pobiegła ucałować matkę i ojca na dzień dobry. jakiż to był uścisk tkliwy i serdeczny! Już też Bronia i Miecio byli ubrani, Kasia podała dzieciom śniadanie, Stasi wydawało się wszystko doskonałem. Kawa była ani gorzka ani przesłodzona i rogaliki świeże, chrupiące. Po śniadaniu Stasia zaraz nie zwłócząc, ani zajmując czem innem, poszukała książeczek i zeszytów, ucząc się pilnie naznaczonej lekcji, i wkrótce umiała już doskonale słowa francuzkie i śliczną bajeczkę Jachowicza. Przepowiedziała sobie kilka razy tabliczkę i zasiadła do pisania kaligrafji, ale tu przytrafiło się nieszczęście. W atramencie musiała być utopiona mucha, która wyciągnęła się za piórem i upadła nieproszona w sam środek kartki, właśnie kiedy Stasia kończyła na niej ostatnią literę. Dobra dziewczynka już, już chciała się rozpłakać, ale pobiegła po radę do matki. Matka jej powiedziała, ,,moje dziecko, pewnobyś nie śmiała pokazać p. nauczycielowi kartki tak powalanej, byłoby to nieładnie, napisz więc lepiej drugą." Dwunasta już dochodziła godzina, był to dzień śliczny, ciepłej jesieni, Miecio oddawna bawił się w ogrodzie i Stasię brała niemała ochota iść się z nim bawić, usiadła jednak znów do pisania, i w kwandrans zapisała kartkę czysto, bez plamy tak dobrze, że p. nauczyciel podpisał na niej; ,wzorowo." Jakżeż potem Stasia bawiła się wesoło! jak jej się wydawało pięknem słońce i kwiatki! nigdy lepiej się nie bawimy jak po pracy. Gnuśni tylko i leniwi nudzą się zawsze i bawić nie umieją,

Stasia w zabawie równie jest dobra i grzeczna, szanuje swoje sukienki, gdy matka zawoła, idzie zaraz, nie sprzeciwia się braciszkowi, ale często choć jest mlodsza od niego, ustępuje mu w zabawie, nie sprzecza się z nim i nigdy nikomu przykrości nie robi. O piątej przyszedł p. nauczyciel, Stasia umiała doskonale swoją lekcję, to też po skończeniu jej z wielką rodością biegła wyprzedzając Mie-

ı, pokazać matce dzienniczek, gdzie dla niej była pisana pochwała

I tak Stasia zaczęty dzień paciorkiem, naznaony pilnością, dobrocią i posłuszeństwem, kończy kże modlitwą. Powiedziawszy dobranoc rodzicom i dzeństwu, rozbiera się składając suknie porządnie na ześle przy łóżeczku, aby nazajutrz miała wszystko zy sobie i nie naprzykrzała się nikomu. Być zecznym dzień jeden to niedosyć, trzeba być nim wsze. Stasia pamięta o tem dobrze, to też wszyscy kochają i starają się robić jej przyjemność.

Otóż i cały sekrecik Stasi, przyznajcie, że nie ı w tem nic trudnego, nic czegoby każde z was obić nie potrafiło. Stasia stara się być dobrą i ce być dobrą, bo kocha serdecznie rodziców i praie stać się ich chlubą, pociechą i radością.

Obrzędy pogrzebowe u Turków.

Umierającego Turka współwyznawcy kładą wznak zwracając go nogami ku Mecce, ażeby dle ich wyobrażeń łatwiej mógł po śmierci trado świętego miasta. Krewni i przyjaciele tym asem rożżarzają węgle i sypią na nie rozmaite onności. Przy łożu śmiertelnem zasiada derwisz świętemi księgami i czyta rozmaite modlitwy, ywając konającego, ażeby je powtarzał. Nakoc kiedy dusza opuści ciało, przystępuje najbliżkrewny i zamyka mu oczy, a brodę przyciska piersi. Poczem kąpią ciało zmarłego w wodzie omatycznemi olejami zaprawnej, głowę i brodę pawają wonnościami, a skronie, nos, ręce, nogi kolana nacierają kamforą, z powodu, iż te części ła największy udział brały w modlitwie za żyzmarłego.

Tak obmyte i opatrzone ciało obwijają w nopłótno, kładą do trumny prostej, po nad nią an modli bez przerwy, aż do chwili złożenia ła w ziemi, od czasu zaś do czasu skrapia truę wonnościami. Następnie kładą na niej kawamaterji jedwabnej, która przedtem pokrywała b proroka i cały orszak wyrusza na miejsce ecznego spoczynku. Wedle przepisów Koranu eży jak najprędzej pochować ciało zmarłego, jeśli zasłużył na niebo, nie zwłóczyć chwili, której ma zakosztować rajskich rozkoszy, jeżeli godzien kar wiecznych, aby pozbyć sie go jak prędzej z domu. Ciało poprzedza duchowieńo tureckie, za niem zaś postępują przyjaciele i wni, niewolno jednakże nikomu płakać, ażeby żarem łez nie przygniatać nieboszczyka. Kobietom hrześcijanom, równie żydom nie wolno znajdować sie na pogrzebie muzułmanina. Po zasypaniu mogiły, Iman odmawia krótką modlitwę, wołając po dwa kroć po imieniu umarłego, a w każdą rocznicę schodzą się krewni i przyjaciele opłakiwać stratę nieboszczyka. Na grobie nie wolno stawiać pomników, ażeby nieuciskał leżącego, nie wolno też po nim chodzić, deptać lub siadać, a grobowce tylko murami dokoła bywają odwiedzione.

Myśli i zdania.

— Pamiętaj tę prawdę, że im kto więcej mówi i przyobiecuje, tem mniej zrobi i dotrzyma.

— Kochaj tego, co cię w oczy gani, a strzeż się takiego, co cię w oczy chwali; albowiem pierwszy mając odwagę ganić przytomnego przyjaciela, pewnie go po za oczy nie oczerni, drugi zaś gotów ganić w nieprzytomności.

— Człowiek szarpiący dobre imię nieobecnego, podobny jest do psa wściekłego, który milczkiem kąsa.

— Abyś był szczęśliwym i ze swego losu zadowolnionym, nigdy nie patrz kto ma więcej, ale kto mniej od ciebie.

— Łaskawość i pokora są gruntem cnoty.

— Daleko łacniej stracić, aniżeli pozyskać poczciwe imię.

— Ci co lubią jeść dużo i smaczno, a robić mało i źle, wychodzą na żebraków.

— Komu co miało wystarczyć, a nie wystarcza, temu nic nigdy wystarczyć nie zdoła.

— Młodzież powinna w domu starszych szanować, za domem spotkanych, w samotności siebie.

— Prawdziwy przyjaciel jest ten, który nie zaprasza się do nas gdyśmy w szczęściu, a w nieszczęściu nieproszony przychodzi.

— Umysł nauką wsparty zdobi w szczęściu, cieszy w niedoli. Ci więc którzy go staraniem swojem w sobie krzepiąc, w innych wzmagają, jeżeli są nauczycielami, zostawiają godny owoc nauki i starania swego, jeśli rodzice, nowem życiem obdarzają dziatki, jeśli rówiennicy, dzielą się najlepszą częścią swego mienia.

— Wyrzucono jednemu, iż uczynił przysługę niegodnemu jej, odpowiedział na to: Ja nie złym obyczajom człowieka, ale bliźniemu usłużyłem.

— Przyjaciel w przygodzie skarbem jest bez szacunku, ale skarby takie trudno znaleźć.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor *A. Kisielewski.* Z drukarni K. Pillera.